Rozmaitości

Dnia 26. Czerwca Ner. 26. Roku 1841.

PRZYSIONEK DO SZCZĘŚLIWOŚCI.

Trwałemu szczęściu nie służą nadzieje,
Nadzieja tylko nieszczęściu uczynna;
Na licu szczęsnych bojaźń siadać winna,
Bo szala losów odwiecznie się chwieje!

Szyller.

Bawiłem w Prieuré w *Hotel d'Angleterre.* Przed kilku laty przywiozłem chorowite serce w dolinę Chamouny; gdym ją opuścił, serce moje już się obeszło bez szczudeł. Od tegoto czasu powziałem jakieś pobożne przywiązanie ku téj dolinie. Wszystek świat nie lubi patrzeć na boleść i nieszczęście; nietylko ludzie, ale nawet niektóre zwierzęta wyłączają chorych i posępnych z swojego zgromadzenia. Jakoż zaiste, piekna natura jest tylko dla oka szczęśliwych; boleść widzi w niéj zawiele błogiéj swobody, idealnéj szczęśliwości. Ale z tém wszystkiem, jakże jest miła i przyjaźna piekna natura w swojéj ciszy i spokojności! Ma ona zmiérzch, ma światło księżyca na ułagodzenie jaskrawych barw radości, ma żale wiatru, głos słowika, te sympatyczne, pełne tony samotnéj ciszy, na ukojenię cierpień zbolałego serca. Jako przezorny lékarz bierze się ona zwolna do dzieła; do naszych ran zakrwawionych, przykłada miękki puch wonnych kwiatów swoich; jéj zdroje, jéj rosa, jéj dészczyk majowy, jestto woda zbawienna z rzéki Lety, a mądra i prosta jéj dyjeta, dokonywa wyléczenia. Onato uczy nas zapominać przeszłość, ona jak z dzieckiem obchodzi się z naszém sercem, wszczepia w nie cierpliwie zarody nowych uczuć, i umié je zwolna aż do zachwytnego nastroić akordu.

Przez samę wdzięczność uczęszczałem prawie co roku do eterycznych kąpiel w Chamouny. Lato w tym roku późno sie zaczęło, towarzystwo jeszcze nie było liczne. Przecież zastałem tam jednego z moich bardzo dobrych znajomych. Przed kilku laty odbywałem podróż po Sycylii, i poznałem się z niejakim Yburgiem, bardzo do rzeczy człowiekiem. Zdania nasze zgadzały się w wielu przedmiotach, znaliśmy obadwaj przywary i szaleństwo świata, tylko że on jak Demokryt, śmiał się ze wszystkiego, a mnie zwykł był płaczącym filozofem nazywać. Zdaje sie, że to stosunki i przygody naszemu poglądowi taką barwę nadały, moja krew' była podobno ciemniejszego koloru.

Yburg pochodził z znakomitéj, majętnéj familii, uczucia jego byłyto dzieci umiarkowanego nieba, a zdrowy rozum jego, dozorował im jako brat starszy. Szczęście zabiegało drogę wszelkim zamysłom jego. Raz tylko w życiu zawiodła go dotkliwie nadzieja. Powziął on był szczére przywiązanie ku młodéj, piękněj dziewczynie, ożenił się z nią—i chybił w téj grze azardownéj. Pryzma miłości okryło ją złudnie przymiotami, których wcale nie miała, była tylko zwyczajną córą Ewy; ale i w tym przypadku nie zapomniało szczęście o swoim ulubieńcu; przezorna śmierć usunęła ją od jego boku. Yburg nie miał sobie nic do zarzucenia; aż do ostatniego tchu jéj życia, sumiennie i cierpliwie dopełniał każdéj powinności. Z rozrzewnieniem ubolewał, że przymiotom jéj ciała, nie odpowiadały przymioty duszy. Jednakże śmierć uszlachetniła ją w jego oczach. Wzniosła ją nad poziom w wyższe krainy, więc przez-to samo była już szlachetniejszą i w pamięci jego uniebioną. Ilekroć spojrzał na córkę swoję, ten miły podarek, który mu zostawiła, nie bez wzruszenia i wdzięczności wspominał i o zmarłéj.

Lucyja odziedziczyła po swojéj matce wszystkie powaby zewnętrzne, a pierwsze dziécięce wzruszenia serca, oznajmiły już ojcu, że dusza jéj jest boskim zadechem, promieniem z nieba. Lucyja była Psycha w postaci swojéj matki. Spiesznie strzeliły lotne skrzydełka, a wtajemniczonego oko łatwo dojrzéć mogło niebiański płomyk, który jéj skronia otaczał. Byłoż-to dziwem, że Yburg całą, niezaspokojoną miłość

swoje ku Łucyi zwrócił, że w jéj byt całe swoje szczęście przeszczepić się starał? Uchylił się on od wszelkich zatrudnień, włożył kapitały swoje w zagraniczne przedsiębierstwa, i żył z bardzo znacznych dochodów, jakie mu niosły. Będąc jeszcze w czérstwym, mezkim wieku, zaniechał wszelkich zamiarów osobistych, postanowił zająć się jedynie wychowaniem swéj córki, i był szczęśliwym, widząc, że ubłogosławiony zasiew, najpiękniéj krzewić się zaczął.

Yburg i ja siedzieliśmy w głębi salonu, Łucyja stała przy oknie i przypatrując się urokom doliny, rysowała szkice w swojéj podróżnéj mapie. Miała już teraz lat siedmnaście i była piękną jak wiosna. Twarz jéj, ramiona, szyja, zdawały się być z łabędziego utkane puchu; po ich śnieżnéj białości biegły niebieskie nitki zdroju życia; jednakże jéj wzrost i kształt był silny i dorodny, całéj postaci uczłonkowanie wiązało się harmonijnie podług wszelkich prawideł ideału, za którymto artyści wszystkich czasów tak starannie się ubiegali, a który sama nawet natura rzadko kiedy w swoich utworach urodzimić zdoła. Włos jéj był złotą pianą, oko świeciło promieniem z Elizeju. Komuż na widok pięknéj dziewicy nie nasuwa się mimowolnie pomysł rajskiego życia!

Z tkliwą pieszczotą uważał Yburg każde poruszenie swéj córki; każdy jéj ruch był lekki, wewnętrzną szlachetnością jéj duszy uświęcony. Łatwo było przebaczyć ojcu, jeżeli się skrytéj dumie unieść dawał, gdyż Łucyja była arcydziełem natury, i dotychczas wszelki jego pomysł wychowania, aż do najmniejszego odcienia urzeczywiściła.

»Widzisz wpan«, rzekł Yburg po niejakiéj chwili do mnie pocichu, »te oto istotę, do szczęśliwości wychowałem. Miałażby szczęśliwość być urojeniem i tylko jako bajka błąkać się po świecie? nie jestże ona każdego człowieka powołaniem? I nie widnoż, że natura i przypadek, przez zdrową piękność, przez umysłowe przymioty i zewnętrzne uwzględnienie, w ten cel swoich ulubieńców wybrały? Piérwszym warunkiem szczęścia jest niezawodnie zdrowie, jestto skrzydło, które nas w jego mieszkanie unosi. Lecz do tego także i przyjemna postać przyłączyć się powinna. Tylko w miłości i przywiązaniu bliźnich najwyższe szczęście spoczywa; rodzaj ludzki jest zmysłowym i takim nazawsze pozostanie; nigdy on się w ten zapał nie uzacni, by ku szpetnéj osobie, istotną, szczérą powziął miłość ludzką. Wewnętrzne szczęście wymaga wygodnéj, zewnętrznéj powietrzni: dostatek jest piękną, pokrzepną pogodą, która jego wzrostliwość upotęża. Jeżeli więc przy tém jeszcze dusza jest uzdolnioną władzą woli, myślenia i czucia, wtedy nie zdaje się, aby szczęśliwość na téj ziemi do płonnych marzeń należała. Łucyja posiada te przymioty; jakże wpan sądzisz, może Łucyja być szczęśliwą?«

Ta piękna otucha, któréj korzenie w najbezinteresowniejszym gruncie, w ojcowskiém przywiązaniu utkwiły, ta tkliwa obawa, która wraz z nadzieją rosła i swój mocny pień drzącémi listki owiła, są tak zniewalające, iż w każdym naocznym świadku jak najszczérsze życzenie wzbudzają, aby Łucyja szczęśliwą była.

»Powód, dla czego tak mało jest szczęśliwych na ziemi, nie zależy podług mego zdania od niechronnego dopustu nieba lub przypadku, ale powiększéj części od schybionych zasad wychowania. Człowiek zajmujący się wychowaniem dziecięcia, jest odpowiedzialnym wydawcą człowieka, on wstrząsa urnę jego losu. Droga udoskonalenia jest razem drogą do szczęśliwości. Te względy miałem na baczeniu w wychowaniu Łucyi. Rosła ona w wolném powietrzu śród cichych, niewytwornych powabów wioski. Jéj pokarmem były niewymyślne, ale pojedyńcze proste potrawy; biegała po ogrodach i łąkach, wstawała ze wschodem słońca, przyzwyczaiłem ją do chłodnego powietrza i dészczu; zamiarem moim było, aby Łucyja przy zdrowym umyśle, miała oraz zdrowe i krzepkie ciało. W dziecięcym wieku swoim nie znała ona coto nad książką dukwieć, zewnętrzne przedmioty świata, wrażenia zmysłowe, brałem dla niéj w naukę. Jéj zawcześnego, przesilnego ukształcenia unikałem bardziéj niż niewinnéj głupoty. Żadna zagraniczna mistrzyni nie układała jéj członków, nie uczyła jéj w obcym języku dowcipnych odpowiedzi lub wykwintnego znalezienia się; chciałem, aby się sama w sobie, własną dzielnością znalazła; chciałem, aby z wewnętrznéj organizacyi strzeliło ziarno w kwiat miły, i dało owoc zdrowy. W języku macierzystym rozwijałem jéj pojęcia, wszelkie inne ozdoby usuwałem na lata późniejsze. Łucyja była wesołą i pojętliwą; umiała mianować wszystkie zioła, kwiaty, zwiérzęta i sprzęty domowe; znała ich składowe części i własności, pożytek i zastósowanie. Mowa o pięknościach przyrody, znajdowała udział w jéj dziecięcém sercu. Codziennie pragnęła wiedzieć więcéj, codziennie zadawała rozsądniejsze pytania. Zacząłem przed nią czytać książki, dziwiła się, żem z jakicheś krések i znaków, tak wiele wiedział; z wielką ciekawością przypatrywała się postaciom głosek, i życzyła sobie odgadnąć ich niemą tajemnicę. Prosiła mnie, a ja nauczyłem ją i czytać i pisać. Późniéj przeszliśmy do dalszych przedmiotów; wskazałem i po imieniu nazwałem jéj góry i rzéki na mapie. Poszliśmy za ich

biegiem i zaszliśmy w obce kraje aż do Oceanu świata. Opowiadałem jéj o moim ojcu i dziadu, o szlachetnych dziełach i wielkich czynach. Gdzież są ludzie, którzy to wykonali? Żyli oni dawno przed nami. Łucyja pojęła dzieje, i dwie nieskończenności: czas i przestrzeń. Atoli coraz daléj sięgały wycieczki nasze; gwiazdy i przeszłość stały się dla Łucyi stopniami, po których w nadzmysłowe sfery dostawać się zaczęła. Cóż jest nad gwiazdami? Gdzież są ci wielcy mężowie, którzy dawniéj na świecie żyli? Czekałem na te zapytania. W pięknym poranku wiosny odsłoniłem jéj najświętszą wszeświatłość świata. Łucyja ukorzona, przeniknioua nicością swoją, jak Mojżesz na górze Horeb, jak uczniowie na górze Tabor, spuściła w ziemię oczy swoje. Byłto najpiękniejszy dzień w mojém życiu; uklękła przed wschodzącém słońcem na otwartém wzgórzu w naszym źwiérzyńcu i powitała radością i płaczem Wszechmogącego!«

»Na widok tych jasnych łez błagałem go, aby jéj pobłogosławił i uczynił ją przez całe jéj życie szczęśliwą. W tym dniu wyszła Łucyja z dziecięctwa. Odtąd modlitwa stała się potrzebą dla jéj serca. Odtąd czyniła wielkie postępy. Dziecięca młodość jéj była pobożną sielanką, pogodną legendą. Nie brała ona różnych nauk z osobna, jak zwykle dzieciom po szkołach dają; nie przypatrywała się martwym skieletom, ale czerpała wszelką wiadomość świéżo z życia, umiała ona może mniéj niż inne jéj rówiennice, ale za to czuła i rozumiała głębiéj. Nawet jéj rozrywki były treściwe, jak umysł jéj świéże. Nie bawiły ją martwe łatki, lękała się najmniejszemu źwiérzęciu sprawić boleść jaką; tém bardziéj bawiły ją otwarte pola, zielonym liściem umajone lasy. Lubiła kwiaty, lubiła pierzchliwych śpiéwaków lasu, z dziecięcą rozkoszą przysłuchiwała się harmonijnemu ich kwileniu.«

»W rocznicę jéj urodzin darowałem jéj w pięknéj, z świetnego drutu uplecionéj klatce, oswojonego kanarka. Z początku ubolėwała nad biédnym więźniem, że w tak małéj przestrzeni zamknięty, podobnie jak bracia jego po obszarach wolnéj natury bujać nie może. Jednakże gdym otworzył klatkę, a kanarek wyskoczywszy na drzwiczki, zaczął z jéj ust i z ręki cukier szczypać, gdym jéj powiedział, że u nas kanarki pod gołém niebem ani wywodzić się ani pożywienia znaleźć nie mogą, wtedy żal ją opuścił i wypogodziła czoło.«

»Wszystko, czego Łucyja się nauczyła i co do tych czas umié, sama w sobie znalazła i z siebie wywiodła. Trudniéj było nauczyć ją, jaka między złém, a dobrém zachodzi różnica; ona pojmowała tylko co jest dobre, czyniła wszystko podług jéj koniecznego, wewnętrznego popędu i sądziła, że ten popęd u wszystkich ludzi jest równie jak u niéj dobry. Przystępowałem więc w téj mierze z wielką ostrożnością do dzieła, i późniéj dopiéro odkryłem jéj ciemną stronę czynności ludzkich. Uczucie jéj pielęgnowałem jak delikatną rdzeń kwiatu; starałem się unikać najszczególniéj dwóch kierunków, to jest: martwéj obojętności i czczéj sentymentalności; ubezpieczyłem się wkrótce przed piérwszą, trudniejszém było jednakże co do drugiego. Przyzwyczajałem jéj zmysły do pobiérania silnych wrażeń, dawałem jéj w przykład rzeczywistość, bądź w historyi naturalnéj, bądź w dziejach świata, a pobożnością i prawdziwémi, mocnémi wrażeniami zachowałem jéj serce od zniewieściałéj tkliwości. Uczucia Łucyi są głębokie, ale silne, obudzają się prędko, ale nigdy bez mocnéj przyczyny. Wspiérała mnie w téj mierze jéj zdrowa budowa ciała, gdzie była potrzeba, dopomagało fizyczne wychowanie. Nauczyła się pływać, i wzmocniła swe nerwy w zimnéj, czystéj wodzie, przytém uczyła się tańczyć i jeździć na koniu, przezco jéj muszkuły nabrały siły i sprężystości. Zniknęła wrodzona jéj podatność w delikatną budowę ciała. Zaledwo kto uwierzył ile wytrwałości i siły w téj pieściwéj, niewieściéj postaci się ukrywa. Cielesne ćwiczenia nauczyły ją mieć w saméj sobie otuchę. Na szczycie najwyższéj, przepaścistéj skały, stanie śmiało bez zawrotu głowy, przesadza rowy i nie wrzeszczy jak dziecko na widok myszy lub pająka. Śród tych ćwiczeń uczyła się Łucyja z wielkiém upodobaniem muzyki i malarstwa. Głos jéj jest tak czysty i głośny jak dźwięk dzwonka w ranném powietrzu. Gra pięknie na fortepianie, wprawdzie nie z wymyślną biegłością najnowszéj szkoły, ale z rytmicznym wyrazem, odpowiednie odcieniom melodyi. Oko jéj chwyta szybko piękność natury, trafia szczęśliwie główne jéj momenta i zarysy, a ręka jéj utrwala artystowski pogląd w szkicach, obrazach. Spodziéwam się, że imionnik jéj niejedną przyjemność wpanu sprawi. Uznałem za rzecz potrzebną rozszérzyć okres jéj wychowania; zwidziwszy z nią kraj ojczysty, pokazałem jéj wszystko piękne, co tylko Niemcy i Włochy pod względem natury i kunsztu posiadają. Łucyja zachwyca się pięknémi dolinami, górami i odnogami morskiémi, oddaje się z zapałem przyjemnościom umnictwa. Wszystko co istotnie prawdziwe, piękne i szlachetne, znajduje oddźwięk w jéj sercu, a kunszt nie jest dla niéj ani płonną zabawką, ani marnym popisem, ale celem uzacnienia się w jestestwie człowieczém.

Lice ojca zarumieniło się; w czystém, szlachetném oku jego jaśniała radość; widać było,

że mówił o najmilszym i najświętszym przedmiocie serca swego.

»Nie miałażby Łucyja być szczęśliwą?« mówił daléj Yburg po niejakiéj chwili milczenia. »Nawet przez niebezpieczny most ciemnéj młodości przeprowadziłem ją bez uszkodzenia na drogę samodzielnego poznania. Tajemnicze uczucia tęsknoty, przebudzające się pochęty, które mimo wiedzy wrą w naturze ludzkiéj, rozwinęły się w niéj oznacznie i w pobożnéj niewinności wświęty zaród uszczęśliwienia. Nie miałażby Łucyja być szczęśliwą? Wiém ja o tém, iż przyjdzie dzień stanowczy, w którym serce zażąda swego uspokojenia, uwzajemnienia uczuć swoich. Gwiazda wypłynie z obłoku i rozpromieni się. Nadejdzie chwila elizejska! Ach, oby Łucyja i wtedy szczęśliwą była! Ależ wtedy towarzyszyć jéj będzie tylko moje błogosławieństwo, bo miłość jest wolną jak duch odwieczny.«

Na te słowa przybiegła do nas Łucyja od okna w głąb sali. Skończyła rysunek; z niewinną radością pokazała ojcu swój krajowid. Rozczulenie jego nie uszło kochającemu jéj oku.

»Cóżcito ojcze?« zapytała troskliwie, i przytuliła swą głowę do jego serca.

»Nic Łucyjo, nic«, odrzekł ojciec i z łagodnym uśmiéchem spojrzał na nią. Powstał z miejsca i ucałował dziéwice w czoło. — »Obyś szczęśliwą była, kochane dziécię, teraz i na zawsze!«

To rzekłszy, wziął od niéj rysunek i poszliśmy do okna, przy którym piérwéj Łucyja stała. Z piękną prawdą zdjęła ona część doliny roztaczającéj się naprzeciw okna: z przodu przedziérała się spiéniona Arwa przez skał urwiska, na boku stała piękna brzóz grupa; lodowiec Prieurejski zataczał się aż w głąb doliny; po lewéj stronie garbiły się błękitne fale Lodowego morza, ale poniżéj nich rozpościérające się pola ubarwione były zielonością i kwieciem: po nad lodowate góry i spiętrzone granitowe igły, parł się olbrzymio spaniały Montblanc, oświetlony porannym blaskiem słońca. Rysunek jéj oddawał piękny odcień tego zachwycającego widoku.

Rozmawialiśmy o jéj pięknéj pracy, ale oko nasze tkwiło mimowolnie w Montblanc, który jakby olbrzymi starzec z głową białą, sklepienie nieba na swych barkach dźwigać się zdawał. Niebo było czyste, błękitne i tylko Tytan gór poddmuchiwał od czasu do czasu jakby dla igraszki mgliste chmurki, które z początku nieśmiało w około niego się tuliły, lecz potém ciężéj i ciężéj w dół się spuszczały, a nakoniec na *Aiguilles rouges* osiadły. Montblanc jest kolébką chmur europejskich, lekką para, która na nim powstaje, roztwiera wodne śluzy natury, jest gniazdem olimpijskiego orła, który pioruny ciska.

* * *

Jakoż w saméj rzeczy dolina Chamouny ma takie zalety i powaby, jakiémi w równym stopniu żadna dolina gór europejskich poszczycić się nie może. Łąki jéj są świéżo-zielone jak smaragdy, a niwy przepełnione różnobarwnym kwiatem najpiękniejszego, pyłysnego szmelcu; gdy po nich oko puścisz, zdaje ci się, iż patrzysz na haftowany pod słońce rozwiniety, aksamitny kobierzec, który się mieni i migoce jak piérze kolibrów. W pośród błogiéj wiosny, niemal o kilka kroków od téj bujnéj roślinności, stérczą w górę odwieczne lodowce i wznoszą swe świécące biało-błękitne kolce i zygzaki aż do składów odwiecznego śniegu. To niepojęte przeciwieństwo natury, sprawia niewymowne wrażenie. Motyle wiją około wonnych kwiatów, ale tuż przy nich zieje zielono-ciemna paszcz lodowéj bramy, a z niéj wytryska z szumem spiéniona kaskada. Po łąkach snują się cienkie, śrébrzyste strumyków pasma, a tam po skałach wiészają się połysne potoki. Szumi Arwa, w dali huczą wodospady, zdroje klekocą, a w nieprzeliczonych kroplach i stokach mruczą i szczebiocą wszędzie fontanny przyrody. Nad niémi stérczą okropne pokłady odwiecznych mas granitu, które natura prawie wszystkie przez chymerę swoję w ostre, duże igły zakończyła, i niémi bajecznie aż w niebo szyje. Na tych pokładów barkach w nieskazitelnéj, śnieżnéj szacie, siedzi olbrzymi król gór Montblanc, a cześć przenikająca, która w jego pobliżu czujemy, daje poznać, że jest panującym monarchą całéj Europy. Piasek po ścieżkach i drogach doliny, nie jestto zbutwiały pył zamierzchłych wieków, lecz jędrne, dziewicze ziarno piérwiastkowego granitu. Ale téż i dolina Chamouny nosi zaród śmierci w swém łonie; Arwa dzikim spadem swoim toczy z gór kamienie na kamienie, brzegi jéj szérzą się w coraz większą pustkę, niezliczone granitu bryły, i złomy skał osiadają i gnieżdżą się w około jéj wód prądu, i przyjdzie chwila, chociaż po upływie wielu wieków, że te jasną, zieloną przestrzeń, jakby bojowisko pokryją rozszarpane członki i białe kości duchów w tych górach zamieszkałych, a rzéka Arwa jako zwycięzycielka potoczy przez nagą, samotną puszczę swoje nurty rwące!

Łucyja była zachwycona pięknością doliny; łąki otaczające łagodne wzgórza w około Prieuré, zdawały się jéj być miejscem zabawy młodości i wiosny. Mapa jéj była wyposażoną w piękne, małe grupy; lada drzewo, lada złom skały, skoro miały w sobie coś poetycznego, już je brała pod ołówko; zielnik jéj zbogacał się codzień nowémi i rzadkiémi roślinami alpejskiémi. Swobodna jak młodość, a zamyślona jak tkliwa dziéwica, przechadzała się po obszarach Chamouny

a jednak nie przeoczyła żadnéj piękności natury, nie pominęła żadnéj drobnostki, która była godną uwagi. Zdumiewałem się nieraz nad jéj poglądem na przedmioty, nad jéj pięknémi wiadomościami i szczęśliwém ich przyswojeniem.

Pojechaliśmy konno do Argentiére, onego pasierba doliny Chamouny; Prienré pozbawiła go sławy, zaszczytu a nawet i nazwiska. Prienré nazywa się także włością Chamouny. Prawda, że łąki w około Prienré są bujniejsze i rozleglejsze, że im otwarciéj i szczodrzéj słońce przyświéca, i że z tamtąd lepiéj się białéj górze przypatrzyć można; ale i Argentiére ma także swoje niewysłowione powaby. Leży w dzikszéj, romantyczniejszéj części doliny Chamouny; schludne domki porozstawiały się w około skromnego kościółka, do którego także lodowiec należący do Argentiére po nad granitowe ściany kolców *Aiguilles* na dół się spuszcza. Ton kolorytu okolicy Argentiére, jest szaro-biały i błękitnawy, ale po drugiéj stronie Arwy roztaczają się jasno-zielone alpejskie łąki, a pomiędzy skał złomami wiążą się piękne brzóz grupy. Łucyja była piérwsza, która na to niesprawiedliwe niezwidzanie téj wioski, nasze uwagę zwróciła; uboléwanie jéj prawie nas do żałości przywiodło; odtąd postanowiliśmy bardzo często zwidzać Argentiére.

Z pomknięta porą lata, zjéżdzało się coraz więcéj gości do Chamouny; z jednymi odnawialiśmy dawną, z drugimi zabiéraliśmy nowa znajomość. Najszczególniéj przyłączyło się do nas kilku Anglików, którzy w towarzystwie przyjemnych dam zwidzali Chamouny. Składaliśmy prawie jedne familiję i spólnie odbywaliśmy każdą wycieczkę. Jednakże, gdy towarzystwo nasze przepełnieniem zagrożone było, jeźlibyśmy wszystkim przybywającym, łączyć się z nami pozwolili; więc niechcąc miéć w zabawach i wycieczkach naszych wielorakiéj przeszkody, postanowiliśmy nie przyjmować więcéj żadnego przychodnia, i tylko na prośbę przyjemnéj lady Florence, zostawiono jeszcze miejsce dla jéj kuzyna Fitz-Finlanda, młodego i majętnego Szkota, który niezadługo miał przybyć do Chamonny. Lecz nie sama tylko lady Florence, także inne damy, które lorda już znały, zdawały się bardzo być nim zajęte. Podczas téj uchwały rozprawiano o nim niemało; uwielbiano powszechnie kawalerską jego uprzejmość, gruntowne wiadomości, umilający jego ton i przyzwoite znalezienie się; wspominano o dalekich jego podróżach, i miano go za najlepszego jezdźca, najśmielszego myśliwca i najlekszego tancérza. Z żartobliwym uśmiéchem nadmieniła jego kuzyna, iż do tych czas żadnéj damie się nie powiodło przywiązać do siebie stale Fitz-Finlanda, co przyjaciółki jéj z przytłumioném westchnieniem, chociaż nie chcąc, potwierdziły.

Towarzystwo nasze udało się powozem *char-à-banc* zwanym, do wód *Saint-Gervais;* odwidziliśmy tamtejsze wodospady i poszli na góry i lodowce.

By się przypatrzyć dokładnie pięknościom lodowego morza, zrobiliśmy na Montanvart wycieczkę. Przy źródle Caillet odwidziliśmy kryształową grotę. Z okropnéj samotności téj góry przypatrywaliśmy się rojowi spiczasto stérczących skalistych gór i nad niémi panującemu Montblanc. Po naszéj stronie rozpościérała się pustynia lodowego morza, w głębi pod nami, dolina Chamouny, zielona, drzymiąca smuga. Daleki huk niewidzialnych lawin obijał się o nasze uszy, nad niémi w powietrzu stérował król ptaków, łomignat zwany. Z ócz Łucyi patrzyła radość i zachwycenie; inne damy były cokolwiek już strudzone. Teraz spuściliśmy się na lodowe morze. Olbrzymie wały, złamane i odbite od brzegów prądy, stérczą tu w wieczném zaczarowaniu, jak owe ściany wodne Czerwonego morza, gdy Jehowa je rozdzielił. Lodowe doliny i strumienie połyskują zieloną morską barwą, nad niémi wznoszą się sklepienia i piramidy z lodu, a pomiędzy niémi toczą się poprute rozpadliny, które grożąc zgubą, w głąb przepaści idą. Damy uskarżały się bardzo na zimno, i z bojaźni nie chciały iść daléj; tylko Łucyja przeskakiwała bez ulęknienia przepaście i odważnie szła po lodzie. Yburg postępował za nią jako troskliwy ojciec, ale zadowolenie, którego na widok rozważnego i śmiałego jéj zachowania się doznawał, nie pozwalało mu okazać jawnie swéj obawy. Nawet inne damy odważyły się częścią na mułach, częścią w wązkich lektykach jéj towarzyszyć.

»Patrząc na Łucyję, która teraz na trudy i niewygodę tak jest zahartowaną, przychodzi mi na myśl jak to wszystko w początkach inaczéj było. Nie było draźliwszego i delikatniejszego dziécięcia jak ona; jéj słabe nerwy czuły najmniejszą odmianę powietrzni, każdy ton ostry, był dla nich nieznośny, a ta harmonijnie w sobie uorganizowana istota unikała troskliwie wszelkiéj nieprzyjemności i najmniejszego bolu. Ta draźliwość nerwów, ta tkliwość na każde nieprzyjemne wrażenie, uśrodkowały się późniéj w sercu Łucyi; inne popędy i przezwyczajenie uczyniły jéj znośném wszystko, czego uniknąć niepodobna, albo co koniecznie w wyższe zamiary dąży; atoli w głębi jéj bytu istnie jeszcze ciągle owa tkliwość, tylko z tą różnicą, że teraz z przyimliwego do czynnego bieguna się zwróciła. Każda radość, każda piękność znajduje nerwy jéj jeszcze równie usposobione

na swe przyjęcie, jak i w zaraniu jéj młodości, a tęsknota jéj do wszystkiego, co piękne i szlachetne, jest tak pochopna i tkliwa, jak niegdyś owa odraza od wszystkiego, co z tém było w przeciwieństwie.«

Podczas téj mowy stanęliśmy na téj części *Mer de glace*, która pod nazwiskiem Telefre jest znana. Na środku pomiędzy wysokiémi lodowémi kolcami i przepaściami stoi w odwiecznym lodzie okrągła skała, którą w téj porze roku alpejskie kwiaty okrywają.

»Gdyby tu był Fitz-Finland«, rzekła Hortenzyja, »jestem pewna, iżby mi z tamtąd przyniósł bukiet z róż alpejskich i niezapominajek.

Łucyja spojrzała na nią jasném, żywém okiem, zastanowiła się chwilę nad przeszkodami i niebezpieczeństwem, poczém skoczywszy zaczęła przesadzać przedziały, rozpadliny i wdzierać się po lodowych złomach.

Między damami dał się słyszéć głos przestraszonego zdziwienia, ale prawie w tymże samym czasie spostrzeżono, że przeprawa szczęśliwie się powiodła, i wkrótce potém z radością doręczyła Łucyja Hortenzyi pełną garść róż alpejskich.

»O tém będzie wiedział Fitz-Finland«, rzekła Hortenzyja, »że dama w śmiałości mu sprostała.«

W téj chwili głębiéj idące słońce wychylając się z obłoków, rzuciło nagle swe promienie na utwory lodowatego świata, które zaczęły tlić różanym ogniem, a najwyższe ich ostrza płonęły jak gorejące korony. Widok ten sprawił nadzwyczajne wrażenie.

Dzień po dniu schodził, a lorda jeszcze nie było w Chamouny; uganiał się on po pięknych górach berneńskich, wdzierał się na lodowce i oddawał się polowaniu; zdawało się, że zapomniał o przyrzeczeniu, które dał swéj kuzynie.

* * *

Postanowiliśmy zwidzić Waliją. Zamówiono muły; damy wdziały na siebie amazonki, i wkrótce podróżowaliśmy wzdłuż doliny Chamouny ku *Tête-noire*. Jechaliśmy prawie wszyscy na mułach, tylko Łucyja nie mogła rozłączyć się z swoim wierzchowcem; byłto wprawdzie pewny, roztropny koń, ale do drogi po górach niebardzo przezwyczajony. Dostaliśmy się nareszcie na pustą rozłęgę urwiskami brył granitowych zasianą, gdzie się krzyżują lawiny; skromne znaki, wskazują miejsca, gdzie ludzie zguby doznali. Aż po granicę odwiecznych śniegów błąkają się pasące trzody, bardzo słabo słychać odgłos ich dzwónków, a smutny ton pastérskiego fletu odzywa się jakby z obłoków. Niebawem dostaliśmy się na rozdroże gór; *Eau noire* płynie już ku północy. *Col balme* pozostał po prawéj ręce, puściliśmy się ku Trydentowi; tu droga coraz romantyczniejszą być zaczyna. Przepaściste jary biegą okropnie w głąb przy krawędziach krętéj drożyny; wysokie granitowe ściany po obu stronach, urwiska skał stérczą popiętrzone, jakby tocząc się w głąb, nagle pokośniały. Droga prowadzi przez galeryje i po nad bezdenne wertepy; bezpiecznym krokiem postępują muły, zdybujesz pojedyńczych wędrowców naprzeciw idących, wydają się oni drobni i mali jak sztafaże w lanszaftach. Lecz potok spieniony roztrzaskiwa swe wody i leci z szumem w przepaść po złomach kamieni, most drży od jego łoskotu, a dzika puszcza drogi alpejskiéj jest samotna i okropna.—»Czy można piękniéj widok natury i dokładniéj odmalować«, rzekła do mnie Łucyja, »jak to uczynił Göthe w tęsknocie Mignony:

Znaszli ten brzég
Gdzie po skalistych górach
Strudzony muł
Swéj drogi szuka w chmurach;
Gdzie w głębi jam
Płomieniem wrą opoki,
A z wierzchu skał
W kaskadach grzmią potoki?

Jedziemy tam. Czytając ten wiérsz czułam się bardziéj być na górze Śgo Bernarda i Gotarda. Nie mówię tu o nowych gościńcach z ich garbatémi tamami, ale o dawnych nadkrawężnych manowcach, których ślady wszędzie się jeszcze znajdują. Göthe w tęsknocie Mignony podobno trafniéj odmalował przechód z Alp do Włoch, niż którykolwiek inny poeta. W *Lago maggiore* zaczyna się kraj, gdzie pomarańcze kwitną; w *Lago di Como:*

Znajdziesz ten gmach,
Gdzie wielkich sto podwoi,
Gdzie kolumn rząd
I tłum posągów stoi;
A wszystkie mnie
Witają twarzą białą,
Pielgrzymie nasz.
Ach, cóż się z tobą stało!

Jechaliśmy przez zieleniejący się gaj modrzewowy; tuż przy nim snuł się potok i stały domy alpejskie. Okolica przybrała postać łagodniejszą; zatrzymaliśmy się u wiérzchołka *Forquela*. Z śród bujnéj niwy poglądały na nas niezapominajki, zawilce, i jak pas czerwone róże alpejskie; kukułka odzywała się w ciemnym lesie, a przed nami rozścielała się piękna dolina Walii. Wzdłuż niéj toczył Rodan swe jasne nurty, jak położ pełzała nad nim mglista smuga, ale do tych słonecznych, zielonych wzgórz dostać się nie mogła. W najczyściejszym eterycznym błękicie stały białe szczyty Alp, a słońce przyświecało mocno i rozpromieniało radość.

W tém, na boku grzbietu góry padło kilka strzałów, ozwały się gończe, a gdyśmy ku téj stronie spojrzeli, wyskoczył z pomiędzy skał jeleń od obławy ścigany. Przewodnicy nasi skrzyknęli z radości. W Walii należy jeleń do najrzadszéj zwierzyny. Zdawał się być jeszcze niezbarwiony, gdyż tak silne i szybkie dawał susy, iż go rozstawione charty dognać nie mogły. Było prześliczny widok, patrząc na tego wolnego wychowańca lasów. Niezadługo padł drugi strzał, jeleń runął nad nami na blizkim wyskoku skały; myśliwy, który go położył, zatrąbił.—A Łucyja spiąwszy konia, pognała ku stroméj odnodze skały. Nigdy jeszcze nie widziałem śmielszéj amazonki; z obawą o jéj życie puścilismy się za nią na powolnych mułach. Gdym przybył, strzelec w szkockim ubiorze stał na przeciw Łucyi. Wzrost jego był śmiały i silny, twarz ukończono piękna, tylko że na niej wydatnie mieszkala oziębłość i duma. Przy nim stał jego *bull-dog*, a u nóg jego leżał jeleń. Łucyja wpatrzyła się w strzelca z zadziwieniem, nagły pęd konia wygnał rumieniec na jéj lica. Żartko wykonane myśliwskie dzieło zachwyciło ją z razu; lecz gdy teraz ujrzała szlachetne źwierzę zabitém i krew strumieniem płynącą, żałość przeniknęła jéj serce, pomięszana i milcząca zatrzymała się przed strzelcem. Ten zdziwił się widocznie niespodzianem pojawieniem się tak rzadkiej piękności. Zdumieni oboje patrzyli na siebie przez chwilę. Nieznajomy zdobył się najprzód na słowo. »Piękna pani, czytam w twojem spojrzeniu, że poległa strona litość w tobie wzbudza, a zwycięzca srogim jest mordercą.« — Łucyja nie mogła jeszcze przyjść do słowa. —»Ale wieszże pani, co za szczególniejsze prawo ma u nas w Szkocyi myśliwiec do damy, ktora po szczęśliwym strzale pierwsza do niego się zbliży?«— »Zapewne nie inne, jak tylko takie, ktore damie przystoi.«—»Różnie to brać można; my Szkotowie jesteśmy jeszcze cokolwiek barbarzyńcy, dzicy, i natarczywi.«— Tu przybyły inne damy na swoich mułach, lecz myśliwiec zdawał się tylko Łucyją być zajęty, z drugiémi powitał się lekko, i chwalił Łucyi śmiałe konia przypuszczenie.—Lecz Hortenzyja skoczywszy z siodła, pospieszyła ku nieznajomemu. —»Tyżesto Emeryku?« rzekła, »tuż się tu spotykamy? a to przedziwnie!«—Z niemałém zadziwieniem spojrzał na damę, po przyjacielsku podał jéj rękę i pocałował ją w czoło. Podobnież i inne Angielki powitały go jako znajomego i krewnego. Jedna wiekiem starsza przedstawiła całemu zgromadzeniu Fitz-Finlanda. —»Wyście dziwnym sposobem zabrali z sobą znajomość« odezwała się Hortenzyja; »gdyby Łucyja nie była z nami, bylibyśmy nito nieznajome jakie koło dzikiego kutyna przejechali.«—»Jabym się takiéj znajomości przelękła«, rzekła inna dama, »którąbym śród dzikiego myśliwstwa zabrała.« — »Alež przebóg, na tobie krew'!« rzekła lady Hortenzyja! Jakoż w saméj rzeczy na sukni i na ręce Łucyi widać było krwi znaki. Z razu myślano, że to z zabitego zwierza, lecz wkrótce pokazało się, że Łucyja w spiesznym pędzie pomiędzy ostre krzaki, cokolwiek się w rękę zraniła.— Fitz-Finland okazał się bardzo troskliwym, przyniósł czémprędzej z poblizkiego źródła wody i obwiązał małą ranę. —»Krew' oznacza długą i trwałą przyjaźń«, pomyślił sobie lord w duchu i uśmiechnął się.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

ZE LWOWA.

Tygodnika rolniczo-przemysłowego pod Redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł Nr. 25. i obejmuje: 1) Zasady służące do ułożenia systematu polowego. (Ciąg dalszy.) 2) O chodowaniu jedwabników. (Ciąg dalszy). 3) O przechowywaniu mięsa w letniéj porze. 4) Korespondencyja. 5) Wiadomości czasowe.

W Warszawie zapowiedziano nowy polityczno-handlowo-literacki dziennik, mający być wydawanym przez kilka osób znanych z piśmiennictwa, pod tytułem: *Czas.* W części literackiéj pomagać mają: podpora wszystkich pism czasowych polskich Kraszewski, Wiszniewski, Kiciński i inni. — *Gazeta poranna* i *Piśmiennictwo krajowe* ustają.

Znaną baladę *Świtezianka,* po kilku innych przekładach, przełożył nowo na język niemiecki pan Blankensee i wydał w Poznaniu wraz z muzyką, ułożoną do tego ślicznego utworu na fortepian przez Dr. Löwe.

Na obalenie niejako zarzutu, jakoby wydane przez Edw. br. Raczyńskiego, tak ulubione *Pamiętniki Paska,* w naszych czasach były podrobione, a czemu nawet pan M. Wiszniewski w tomie drugim swéj *Historyi literatury polskiej* wierzyć się zdaje, *Biblijoteka warszawska* w zeszycie czerwcowym przytacza dzieło Rzączyńskiego: *Historia naturalis curiosa Regni Poloniae* z roku 1721, w którém zawarta jest wiadomość, że u szlachcica Paska w województwie krakowskiém jest tak ułaskawiona wydra, że jakby pies strzeże wozu, koni i t. p. Pasek w *Pamiętnikach* swoich wspomina o téj wydrze.

Pan Szafarzyk jeździł do Berlina i spodziewają się, że sławny ten badacz starożytności sławiańskich, przyjmie ofiarowaną mu tamże katedrę sławiańskiej literatury.

Pozłacanie za pomocą galwanizmu. Z Stutgardu pod dniem 6go maja donoszą: Reinecke, tutejszy fabrykant tabakierek, wydoskonalił tak dalece podany przez profesora de la Rive pomysł pozłacania za pośrednictwem galwanizmu, iż takowy pod względem trwałości w porównaniu z pozłacaniem w ogniu, nic więcéj do życzenia nie pozostawia. Co do piękności koloru, rzéc można, że takowy wszelkie inne pozłacanie przewyższa. Rozważywszy, że w galwanicznem pozłacaniu nie rozwijają się tak szkodliwe dla ludzi wyziewy żywego srebra, że mniéj złota niż na pozłacanie w ogniu wychodzi, i że techniczna robota ma być przy tém tak prosta, iż ją nawet dzieciom poruczyć można, uważamy wynalazek ten za tak ważny w téj gałęzi przemysłu, iż życzymy, aby jak najprędzej pomiędzy złotnikami upowszechnionym został.

Nowa róża. Pewien ogrodnik paryski otrzymał z róży Bourbon i *gloire de rosomene* nowy gatunek róży, któréj kwiecie pyłkiem kilku damasceńskich i chińskich róż zapłodnił. Nowa ta nadzwyczaj piękna róża, jest jasno-karmazynowego koloru, ciemną purpurą cieniowana i ma mocny, nader przyjemny zapach.

Przedruk we Francyi. Surowo ale zupełnie sprawiedliwie karzą sądy francuzkie za przedrukowanie dzieł. I tak dwóch nakładników P. i H. Barbou, którzy się w Limoges i w Paryżu przedrukowaniem dzieł zajmowali, skazano niedawno na zapłacenie 4000 franków kary a 100,000 franków wynagrodzenia. Wielką uwagę zwraca na siebie także proces, który wytoczyli rytownicy przeciw sprzedawającym odciski ich dzieł na chustkach od nosa i szyi. I tak pan Jacet (sławny rytownik) i Bibert nakładnik, podali w Rouen zaskarżenie przeciw fabrykantom Néron i Bataille, że na krawatach przedrukowali: *Odjazd Arabów* i *Wstającego z grobu Napoleona,* a sąd skazał fabrykantów na zapłacenie 500 fr. wynagrodzenia i 300 franków kary, gdyż tak Jacet jak i Bibert uzyskali nietylko prawo własności, ale nawet prawo wyłącznej reprodukcyi powyższych przedmiotów, na jakikolwiek sposób takowaby się odbywać mogła.

Nowy sposób sporządzania kawy. Benson Hill, w almanachu swoim dla gastronomów mówi: Ja próbowałem każdéj znanéj metody sporządzania kawy, i przekonałem się, iż nié masz pewniejszego sposobu do otrzymania czystéj i mocnéj kawy, jak tylko następujący: Wybij jedno jajo,—a na duży garnek wybij dwa i wymieszaj je dobrze z kawą aż się z tego gałka urobi, włóż potém w imbryk zimną wodą nalany, tak niech stoi niemal całą godzinę, aby naciągnęła, ale strzeż się mieszać ją; na krótką chwilę przed dawaniem kawy, przystaw imbryk do ognia, niech się mocno rozgrzeje, ale jeżeli chcesz otrzymać *aroma*, uważaj aby się nie gotowała. Potém zléj ją ostrożnie, a tym sposobem otrzymasz tak czystą i mocną kawę jak tylko być może. Do osłodzenia najprzydatniejszy jest tłuczony cukier kandyzowany. Śmietanka jest najlepszym do niéj dodatkiem, a w braku tejże i warzone mléko się bierze.

Bardzo ważna przestroga. Pewien młody włościanin w Bonrgoing we Francyi, który wylazł na czereszniowe drzewo obnażone z liścia przez gąsienice, i jadł z niego czereśznie, dostał nagle zapalenia gardła i wpół godziny umarł. Gąsienice pozostawiają na czereszniach nieznaczną, zaledwie okiem dostrzeżoną, lecz bardzo jadowitą substancyję, dla tego czereśznie nie obmywszy wprzódy, nigdy jeść nie należy.

Przestroga, aby nie używać niedojrzałych kartofli. Już przyszedł czas, gdzie za zyskiem ubiegające się wieśniactwo niedojrzałe kartofle na rynek przynosi. Jak zdrowe i posilające są dojrzałe mączaste kartofle, które dopóty w ziemi zostawać powinny, pokąd ich kwiecie w nasienie się nie zmieni, tak téż niezdrowe i szkodliwe są kartofle niedojrzałe, łojowate: ponieważ wiadomo, że roślina ta należąca do gromady pospolitych psionek, które z innych względów są podejrzane, tylko przez dojrzałość nasienia szkodliwość swą utraca. Dla tego słusznie przypisują lekarze corocznie ponawiające się słabości, jako to: kolki, womity, biegunkę, cholerę i t. d. poczęści nieostrożnemu używaniu niedojrzałych kartofli; słabości te spostrzegamy najszczególniej u znakomitszej klasy, która dla podrażnienia smaku nietylko pieniądze, ale nawet i zdrowie poświęca. Dla tego życzyć należy, aby z targowicy wszelkie zamłode kartofle, równie jak i niedojrzałe owoce uchylano i zajmujących się ich sprzedawaniem do odpowiedzialności pociągano. Doświadczenie przez lat trzydzieści i dwa w praktyce mojéj, i usilność stania się pożytecznym w każdym względzie dla bliźnich, skłoniły mnie do ogłoszenia téj przestrogi. Wiédeń w miesiącu czerwcu 1841. M. Flor. Schmidt, doktor med. i profesor.

Wioski napowietrzne. W Ameryce znajdują się na powietrzu wiszące wioski, które głębokiemi i niedostępnemi bagnami i moczarami są otoczone. Na wysokich palmowych drzewach, które jedne obok drugich bardzo gęsto rosną, kładą tamtejsi mieszkańcy duże, długie poprzeczne belki na wysokość trzydziestu lub czterdziestu stóp po nad ziemię; na tych potém każdy z nich stosownie do swojego zamiaru, pomieszkanie dla siebie stawia. Na drzewa te wdzierają się tamtejsi mieszkańcy bez różnicy wieku i płci tak zwinnie, jak wiewiórki. Przyczyna dla któréj podobne pomieszkania stawiają, jest jedynie ta, aby się drapieżnych krokodylów, tygrysów, równie jak i od częstego wylewu wody uchronić.

Chrystyjanizm w Chinach. Podług angielskiego dziennika *Examiner*, liczy państwo chińskie obecnie 300,000 Chrześcijan. Zostają oni powiększéj części pod duchowną opieką księży zakonu Łazarzystów; reszta oddana jest w opiekę księży Dominikanów i Franciszkanów; tudzież nieznacznej części księży włoskich. Jest tam w ogóle 300 tak europejskich jak i krajowych kapłanów, i tylko mała liczba seminaryjów, które raczéj zwyczajnemi szkołami nazwaćby można. Prawda, że publiczne wykonywanie chrześcijańskiéj wiary niedozwolone jest w kraju, jednakże wyznawcy jéj nie doznawają żadnéj przeszkody w zgromadzeniach prywatnych. Ponieważ tam nié ma wiele kościołów, a i te niebardzo są obszérne, dla tego też gorliwi Chrześcijanie zmuszeni są zgromadzać się w domach prywatnych. Rzeczą godną uwagi jest to, iż dotychczas nie uszkodzony jest kościół, który sprzyjający Chrześcijanom cesarz Hang-Hi, kazał wystawić w Pekinie. Pomiędzy poganami w Chinach panuje to podanie, że pokąd na szczycie tego kościoła krzyż tkwić będzie, dotąd chińskiego państwa żadne nieszczęście dotknąć nie może. W samym Kantonie jest około 8 do dziewięciu tysięcy Chreścijan, którzy większej swobody niż w innych częściach Chin doznawają. W Makao jest prawie 1000 katolików osiadłych.

Napoleon zwał nieszczęście akuszerką jenijuszu.

Żydzi Murzyni. Powszechnie wiadomo, że Murzyni są religii machometańskiéj, chrześcijanskiéj i rozmaitéj pogańskiéj, ale snać nie każdemu wiadomo, że także są Murzyni religii żydowskiéj, którzy w Kochinie znaczną osadę stanowią. W opisaniu podróży rabina Dawida z Beth-Hill, które niedawno wyszło w Madras na widok publiczny, zawarte są następujące podania o białych i czarnych Żydach w Kochinie. »W czasie mego pobytu w tém mieście, mówi tenże rabin, ilość białych rodzin izraelskich dochodziła prawie do dwiestu. Mają one bardzo piękną chińską porcelaną wykładaną bożnicę, która pięknym ogrodem jest otoczona. Holendrzy darowali im bijący zegar, a w dniach świątecznych stawiają na stół wiele złotych i śrebrnych naczyń. Byli oni niegdyś bogatymi kupcami, ale obecnie bardzo podupadli, a o niewiastach ich nie wiele dobrego powiedzieć można. Przypominam sobie, że w Europie znałem wiele rodzin, mających takież same nazwiska jak najznaczniejsze rodziny w Kochinie, i tak: są tam Rotenburgi, Czerfaty, Aszkenacynowie i t. d. Nie mają oni rękopisów, któreby do dwiestu lub trzech set lat sięgały. Czarni Żydzi w przyległych włościach liczą przeszło 1500 rodzin i mają 6 bożnic, dwie w Kochinie, dwie w Arnalata a dwie we włościach przyległych. Murzyni izraelscy są bardzo rzetelni ludzie i prawie wszyscy zajmują się rękodzielnictwem, pola zaś i ogrody uprawiają Indyjanie, i nie masz między nimi ani jednego, któregoby prawdziwie ubogim nazwać można. Podług zdania wielu dobrze zawiadomionych mężów, Murzyni izraelscy, są potomkami niewolników Murzynów, którzy przez jednego z bogatych indyjskich Żydów przed kilku set laty wykupieni, w żydowskiéj religii wychowani, a późniéj uwolnionymi zostali.«

Szczęśliwe małżeństwo. *Spectator* dziennik *Adissona* nadmienia o pewnym starodawnym funduszu, na mocy którego każde małżeństwo, które przez rok cały się nie kłóciło, w nagrodę za spokojność domową prosię pieczone otrzymywało. Jednakże przytém uwiadamia, że w ciągu całego stulecia, jedno tylko małżeństwo miało to szczęście jeść pieczone prosię, i to tylko przez ten przypadek, że się szczęśliwie dobrało, gdyż mąż był ślepy a żona niema.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.
Drukiem Piotra Pillera.